NUMER 46. DNIA 16-go LISTOPADA 1902 ROKU ROK X

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Ks. KAROL HRYNIEWICKI.

W 35. ROCZNICĘ ŚWIĘCEŃ KAPŁAŃSKICH.

W dniu 21. listopada b. r. przypada 35. rocznica święceń kapłańskich męża, który wśród prześladowań stał się w swoim narodzie granitowem świadectwem prawdy, nieugiętym protestem Polski i bohaterem-męczennikiem jej dziejów porozbiorowych.

Ksiądz arcybiskup Karol Hryniewicki, wygnany biskup wileński, żyje od lat kilkunastu między nami jako skromny i cichy kanonik kapitulny. Społeczeństwo nasze garnie się jednak do niego, miłością go otacza jak swego prawdziwego Arcypasterza, który w obronie narodu i wiary żadnych nie zna kompromisów z wrogami, każdej chwili gotów do poświęceń za swoje owieczki.

W dniu jubileuszu 35-letniej zbożnej a wielkiej pracy narodowej, dank się należy Czcigodnemu Mężowi od społeczeństwa polskiego, wdzięczność, i wspomnienie jego dzieł przemożnych*) a długoletniej tułaczki, tem bardziej gorzkiej i cięższej, że wśród swoich tułać się musi dostojny Pasterz, że i od współbraci przyszła mu nieraz gorzka niewdzięczność za trud i poświęcenie żywota.

Kiedy przed kilku laty ksiądz Karol Hryniewicki obejmował skromne stanowisko proboszcza w Tuchowie, jeden był tylko głos w społeczeństwie polskiem, że mianowicie stanowisko to przejściowe jest tylko, a wygnaniec biskup wileński niebawem stanie tam, gdzie go nietylko kanony kościelne wyniosły, ale i jego wiekopomna zasługa.

Od tego czasu wszystkie galicyjskie stolice biskupie już na nowo zostały obsadzone, ale dla męża tej miary, co arcybiskup ks. Hryniewicki, nie stało miejsca na żadnej, rzekomo z powodu trudności prawnych i dyplomatycznych.

Ale choć urzędowym palliuszem nieozdobiony, pozostanie ks. Hryniewicki zawsze dla społeczeństwa naszego arcypasterzem i to tem więcej ukochanym, im dotkliwiej sfery urzędowe dają mu uczuć dolę wygnańca, przez liczne małostkowe szykany, dochodzące niekiedy do tego, że urzędowi kaznodzieje nie chcą nawet Jego pasterskiego błogosławieństwa z ambony.

Choć przecież błogosławieństwo takiego pasterza to zdrój siły i łaski; ono płynie mocą życia

*) Szczegóły biograficzne por. w broszurze ks. Z. Ch. pt.: „Nasi nowi biskupi“ (Warszawa 1883) i w bezimiennej pracy pt.: „Dwadzieścia pięć lat Rosji w Polsce“. Zwolennicy i wielbiciele ks. arcybiskupa, ułatwią mu zapewne wydanie osobistych pamiętników, będących tak ważnym dokumentem dla dziejów porozbiorowych Polski.

całego, czynów przemożnych jest źródłem, woli hartownej i charakteru bez skazy.

Błogosławieństwo wygnańca, toż prawda i żywot — sumienie żadnym nie splamione kompromisem, poświęcenia wielka potęga...

I oni nie chcą takiego błogosławieństwa! Takiej siły nie chcą, co życiem całem prawdę głosi odwieczną!

Dzisiaj na świecie taki brak woli i charakteru, smutna szarzyzna życia publicznego zaległa obszary, taki brak ludzi na każdym kroku...

A ucisk rośnie. Na gromy piekieł, tytanówby trzeba potęgi, zaśnionych rycerzy do takiej pracy ogromnej, a my...

„Pulvis et umbra...

Nawet błogosławieństwa wygnańca nie potrzebują ci, co charaktery mają wyrabiać i sumienie...

Żelaznym zaś charakterem i nieugiętem sumieniem kapłana odznaczał się ks. Karol Hryniewicki od początku swojej kapłańskiej, a później biskupiej działalności. Toż zaraz u progu katedry wileńskiej powitał go powszechny głos, jako męża opatrznościowego, który jedynie był powołany do trudnych i ciężkich rządów djecezji wileńskiej.

A trzeba było niesłychanej siły i mocy w tej właśnie chwili, kiedy na Litwie co szlachetniejszych Murawiew wywieszał i jego następcy wygnali, kiedy podłość i upadek z każdego kąta tam pełzały. W takich samych czasach, przed dziesięciu laty snop światła rzucił na Litwę znękaną czyn dziekana wileńskiego, Stanisława Piotrowicza. W kościołach już zabrzmieć miało rosyjskie nabożeństwo, setki rytualnych „trebników“ i odezw czekały na rozpowszechnienie. Wówczas to ks. Piotrowicz stanął dnia 6. kwietnia 1870 r. w kościele św. Rafała na Snipiszkach na ambonie. Jarzącą gromnicę trzymał w jednej, papiery jakieś w drugiej ręce. Kościół był natłoczony. Ksiądz Piotrowicz przytwierdziwszy świecę spokojnie, z początku przyciszonym, potem coraz już jaśniejszym i donioślejszym głosem mówił, że mu polecono język moskiewski w kościele rozpowszechniać, ale on tego nie zrobił i nigdy nie zrobi. Może go za to śmierć spotka, może lżejsze lub cięższe od niej prześladowanie — niech będzie, co chce, on sam wytrwa i innym drogi do zaprzaństwa nie wskaże. Tu przytknął papiery do świecy i zapalił. Spłonął ukaz carski i wszystkie, wprowadzające go w życie, odezwy. W kościele stał się wielki rozruch, z głębokiego wzruszenie łkali mężczyźni i kobiety, a zapał poszedł dalej i dalej i uratował Litwę na czas jakiś.

Czyn ten słabem już tylko odzywał się wspomnieniem w czerwcu 1883 r., gdy ks. Karol Hryniewicki obejmował rządy djecezji wileńskiej. Urodzony w r. 1841 na Litwie, dnia 21. listopada 1867 wyświęcony na kapłana, przebywał on długie lata w Petersburgu, jako prałat i rektor seminarjum mohylewskiego. Mianowany równocześnie z innymi biskupami, biskupem wileńskim, pozbawiony uroczystego ingresu, rozpoczął ks. Hryniewicki swoją pasterską działalność od rozpędzenia zgraji zaprzańców i renegatów z samej kapituły wileńskiej. Przed zimą r. 1883 objechał bardzo wiele dekanatów w gubernji wileńskiej i grodzieńskiej. Wszędzie był surowym, niczego nie darował, ale za to udzielał znękanym prześladowaniami orzeźwiającego natchnienia do obowiązku, do wiary, do uczciwości. Lud tysiącami garnął się do bierzmowania i po błogosławieństwo pasterskie, a ks. Hryniewicki wracał z tych objazdów coraz silniejszy na duchu. W Wilnie powyświęcał skończonych alumnów i zreformował seminarjum.

Surowy dla księży, dbał o potrzeby wiernych. Nieraz sam w nocy w sukni księżej, jak zwykły kapłan, wyjeżdżał z ostatnimi sakramentami w okolice Wilna. Nowy duch wionął na całą Litwę.

Tymczasem gubernatorem Wilna został srogi Kachanów, który zaraz za pierwszem widzeniem się z ks. biskupem Hryniewickim, zaproponował mu, aby sam, dla „dobrego przykładu“ wygłosił kazanie po rosyjsku. „Dobrze — brzmiała odpowiedź — jeżeli tylko papież pozwoli“. Kachanów zamilkł, ale nieco później nakazał policji gnać uczniów w dnie galowe do cerkwi. W odpowiedzi na to zakazał ks. biskup prefektom szkół uczestniczyć w nagonce, skutkiem tego zaś Kachanów, mszcząc się, zabronił ks. Hryniewickiemu odbywania wizyt pasterskich.

Walka zaczęła się na ostro. Ks. Hryniewicki nie myślał odstąpić od swoich obowiązków i odniósł się do ks. Gintowta, metropolity mohylewskiego. Rady jednak żadnej metropolita nie dał, bo przecież i jemu samemu, metropolicie, nie pozwalano na żadne wizyty!

Tymczasem odsądził ks. Hryniewicki prałatów wileńskich Kopciuchowicza i Małyszewicza

publicznie w kościele bernardyńskim od wszelkich urzędów kościelnych i godności. Byli to renegaci, kreatury rządowe, wywołujący rozwiązłością swoją publiczne zgorszenie. Kopciuchowicz nadto zapieczętował list do kochanki komunikantem!

Dnia 4. paźdz. 1884 (st. stylu) w odezwie nr. 4.932, sam minister Tołstoj oznajmił ks. Hryniewickiemu wolę swą, aby ludzie ci pozostali nadal prałatami kapituły z całkowitą pensją. Biskup się nie zgodził, wobec czego gubernator Kachanów postanowił „upór“ jego za każdą cenę przełamać.

Drukował właśnie ks. Hryniewicki rubrycelę na r. 1885. Kachanów posłał do drukarza Zawadzkiego rozkaz zamieszczenia Kopciuchowicza i Małyszewicza, pominiętych w wykazie. Za nieposłuszeństwo groziła kara, Zawadzki więc odwołał się do biskupa. Biskup pozwolił zamieścić wyklętych, ale z dodatkiem: „odpadły od Kościoła“. Z takiem objaśnieniem wdrukowano obu protegowanych rządu rosyjskiego do rubryceli. Kachanów nakazał policji chwytać druk buntowniczy, a równocześnie posłał jednego z urzędników po biskupa, aby doń przyszedł. Ks. Hryniewicki odpowiedział: „niech generał przyjdzie do mnie“. Drugi poseł przyniósł już groźbę i zapowiedź, że gubernator sprowadzi biskupa siłą. Na to biskup wpadł w gniew i ostro odpowiedział urzędnikowi.

Dnia 2. lutego 1885 otrzymał ks. Hryniewicki propozycję, aby dobrowolnie wyjechał. Wysłuchawszy jej, odpowiedział, że nie widzi, dlaczego by się miał dobrowolnie usuwac, nie popełnił nic przeciw prawu i sumieniu — na osobie nie trudno się gwałtu dopuścić, ale duch gwałtowi się oprze. „Dobrowolnie się nie usunę — zakończył biskup — usuwajcie mnie!“

Los biskupa był już rozstrzygnięty. Z rana dnia następnego, tj. 3. lutego wywieźli go Rosjanie z Wilna. Na kolej petersburską jechał ks. Hryniewicki w otwartym powozie. Jadąc błogosławił tłumy, pomimo nocy zebrane na ulicach. Lud padał na kolana, łkał żałosnymi jękami. Pomimo obsadzenia dworca kolejowego przez policję tłum wdarł się do środka. Od tygodnia już lękano się porwania, czuwano w mieście i okolicy i na chwilę wywiezienia nadciągnęły do Wilna gromady ludu okolicznego. Sala dla podróżnych przepełniła się w jednej chwili. Biskup przemówił słowem krzepiącem, wezwał do wytrwania i zdania się na opatrzność. Potem wszystkich pobłogosławił, garnącym się do niego głowy ściskał. Objawy żałości rosły z każdą chwilą. Gdy już prowadzono więźnia do wagonu, lud wyciągnąwszy ręce ku niemu, żegnał opiekuna swego lamentem i namiętnymi krzykami, lekceważąc nawet obecność policji rosyjskiej.

W Petersburgu nie dopuszczono ks. Hryniewickiego przed oblicze cesarskie. Dnia 9. lutego żandarmi wywieźli go do Jarosławia nad Wołgą, skąd na dwa lata przedtem uwolniła Rosja arcybiskupa Felińskiego, trzymanego przez lat 20 na wygnaniu.

Mimo ogromnego oddalenia, nadawał ks. Hryniewicki tajnie kierunek rządom osieroconej djecezji. Ogromne a puste mieszkanie z kilku wychodami, dozwalało mu przyjmować nocami to rodzinę, to wysłanników kapituły. Rząd szykanował go na każdym kroku, od czasu do czasu żandarmi z gubernatorem Larinem na czele wpadali do domu jego i przetrząsali wszystkie zakątki. Doszło do tego, że mu nawet nie pozwolono na urządzenie kaplicy domowej. Dopiero później, gdy w okolicy szerzyć się począł t. zw. nihilizm i policja miała co innego do roboty, dawano ks. Hryniewickiemu więcej spokoju.

Tymczasem w r. 1889 przyszła do skutku nowa ugoda Rosji z Watykanem, której rezultatem było mianowanie ks. Awdziewicza biskupem wileńskim. Ks. Hryniewickiego odstawiono do granicy austrjackiej i to z takiemi ostrożnościami, że na wagonie, w którym siedział, widać było napis kredą dużemi literami: „Bywszyj episkop wileński“ dla ostrzeżenia żandarmów, żeby nikomu do wagonu tego zbliżać się nie pozwalali.

(Dok. nastąpi). *Fr. Jaworski.*

Stanisław Moniuszko.

(W TRZYDZIESTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI.)

Z okazji trzydziestej rocznicy śmierci Stanisława Moniuszki zamieścił „Kurjer Warszawski“ szereg feljetonów, których autor, p. Konrad Zawiłowski charakteryzuje znaczenie narodowe i muzyczne tego twórcy opery polskiej i wogóle jednego z największych mistrzów w tej dziedzinie sztuki. Po krótkim wstępie o wpływie warunków politycznych na twórczość muzyczną pewnego narodu, przechodzi p. Zawiłowski do samego Moniuszki, jako twórcy muzyki, płynącej z narodowego podłoża i tak pisze:

„Jednym z tych, którzy w stworzeniu muzyki narodowej widzieli swe posłannictwo, tym, który tak konsekwentnie i wytrwale działał w tym kierunku, że znaczeniem przerósł wielu, którzy podobny początek mają — był Stanisław Moniuszko.

Co go na tę drogę pchnęło, opowiada Chęciński, jeden z przyjaciół Moniuszki, we wspomnieniach, spisanych po śmierci Moniuszki według jego opowiadań. Oto gdy po skończeniu studjów, wracał do kraju, tuż nad granicą wstąpił do maleńkiego kościółka wiejskiego, w którym właśnie odbywało się nabożeństwo. Uradowany tem, że jest już na ziemi rodzinnej, wszedł do kościółka, udał się na chór, odsunął organistę i, zasiadając sam do organów, starał się wypowiedzieć muzyką swoje uczucia. Po mszy został zaproszony przez proboszcza do zakrystji; kiedy się tam udał w przekonaniu, że otrzyma podziękowanie, spotkał się z gorzkimi wyrzutami, że do polskiego kościoła wprowadza muzykę niemiecką. Według opowiadania Chęcińskiego przypadek ten miał być decydujący w zapatrywaniach Moniuszki na jego działalność kompozytorską.

Faktem jest, że w prospekcie na pierwszy śpiewnik, drukowanym w r. 1842-im w Tygodniku petersburskim, na końcu samym dodaje: „Śpiewy moje, choć mieszczą w sobie różnego rodzaju muzykę, dążność jednak i charakter mają narodowy“. I ten ideał: stworzyć muzykę narodową — towarzyszy mu nieustannie, jest mu gwiazdą przewodnią, a poczucie, że spełnia wzięty na się obowiązek, jest mu jedyną prawie osłodą w niewypowiedzianie ciężkich warunkach życia.

Moniuszko pojmował swoją działalność jako misję, podstawę do mającego kiedyś nastąpić przejścia hegemonji muzycznej z rąk germańskich do słowiańskich. Czuł jednak, że może się to stać tą samą drogą, którą hegemonja przeszła z rąk romańskich do germańskich, t. j. nie drogą przeciwstawienia, ale drogą wchłonięcia zdobyczy innych narodów, a więc na podstawie literatury wszechświatowej.

Pojmuje on głębiej od swych poprzedników pojęcie: muzyka-opera — nie ogranicza się do mniej lub więcej dokładnego naśladowania melodji pieśni ludowych — nie — on wchłania w siebie całą treść tych pieśni.

Słusznie rozumiejąc, że naśladowania muzyki ludowej, podobnie jak utwory poetyckie, pisane w djalekcie, muszą się ograniczać do pewnej przestrzeni, nie zadowala się Moniuszko samem naśladowaniem lutni ludowej; stara się pierwiastki ludowe z ogólnemi ideałami sztuki pogodzić i osiąga w swych najlepszych dziełach stopienie sztuki i natury, które przedstawia się nam, jako jedność nierozerwalna, wynikająca sama z siebie. Pieśń ludowa jest mu matką-ziemią. Starożytne podanie opowiada, jak Anteusz przez dotknięcie ziemi nabierał nowych sił. Czyż i muzyka nie może czerpać nowej mocy ze zbliżenia się do swego pierwotnego źródła, do pieśni ludowej?

Przed wyjazdem do Berlina pobierał naukę muzyki u dwóch nauczycieli, w roku 1828 i 1829

u Freyera w Warszawie, następnie zaś w Mińsku u Dominika Stefanowicza. Nie ulega jednak kwestji, że cała nauka ograniczyła się do gry na fortepianie — widocznie nawet teorji muzyki go nie uczono, jak się można domyślać z następującego listu, pisanego z pierwszej podróży do Berlina w roku 1837:

„Służąca, podobna do Artemidy Ubielskiej, ma miławy sopranek, garson, mający nad mojimi butami nadzór, śpiewa przyjemnym tenorem a kucharz w szlafmycy dopisuje tubalnym basem vibrato: podsłuchałem ten tercet w kredensie, śpiewał każdy co innego, ale to tak było zgodne, że daj Boże po wieki taką harmonję (?) na świecie całym“.

Z papierów zaś pozostałych widać, że te dwa lata, które spędzał w Berlinie, objęły w programie prócz teorji muzyki harmonję i kontrapunkt. Całą zaś naukę skończył Moniuszko na fudze.

Na jego też nauczycielach cięży wiele odpowiedzialności. Powierzony im był genjusz, na którym żaden z nich się nie poznał. Gdyby na jego muzykalne wychowanie łożono choć część tej staranności, której doznał w młodości Mozart lub Mendelsohn, nie ulega wątpliwości, że tak wyjątkowe dary natury byłyby rozkwitły nierównie więcej i Moniuszko byłby doszedł do zupełnego rozwoju, który jest jedynym jego brakiem.

Wiemy dobrze, ile pracy i mozołu poświęcał Chopin na poprawianie i przerabianie swoich prac miniaturowych, aby im nadać cechę dzieła, rzuconego na papier z nonszalancją, bez troski, tak, od niechcenia. Naturalnie ten pozór nie złudzi nikogo, kto intensywnie zajmuje się fakturą jego kompozycji; gruntowna analiza wykazuje wprost niesłychane wyrafinowanie w figuracji, rytmice, modulacji — w prowadzeniu głosów środkowych i basu — wszystko to owoc nietylko natchnienia, ale prawdziwie gruntownych podstaw, nabytych już w dzieciństwie.

U Moniuszki niesłychanie rzadko napotyka się ślady głębszego autokrytycyzmu podczas tworzenia i po stworzeniu dzieła. Gdy raz powziął plan, myśl zasadniczą uchwycił, przystępował do rzeczy, nie oglądając się w prawo, ani w lewo. Wskutek tego zdarza się, że nawet w najlepszych jego dziełach znajdują się usterki, których nadaremnieby się szukało u kompozytorów, nawet mniejszem natchnieniem obdarzonych, ale surowszych dla siebie. Jest to skutek nietylko jego indywidualności, ale także, i to przedewszystkiem, braku wychowania muzycznego od dzieciństwa, w którem, obok studjów, główną rolę odgrywają wrażenia artystyczne. Te rzeczywiście dodatnie wrażenia, które odebrał, wszystkie wydały owoc stokrotny, przedewszystkiem zaś pieśń ludowa, czerpana u samego źródła. Ale też i tu koniec. Matka wprawdzie musiała być muzykalną — według notatki ojca Czesława, przeszło „60 piosnek“ egzekwowała z pamięci, do 150 z nut, ale, rozumie się, były to, oprócz śpiewów historycznych Niemcewicza, wyłącznie arje z oper włoskich i francuskich, które jako środek dydaktyczny niezbyt mogą być zalecane. Pierwszy raz zetknął się z muzyką poważniejszą w Wilnie w czasie króciutkiego sezonu prowincjonalnej opery niemieckiej, nie odznaczającej się zapewne doborem sił, ale za to repertuarem, w którym przeważały opery Mozarta i Webera.

Z tak małymi zasobami wiedzy przygotowawczej przybywszy do Berlina, miał nieszczęście dostać się pod kierunek człowieka, który najzupełniej nie posiadał kwalifikacji do pokierowania umysłem niesłychanie bujnym i wrażliwym. Zresztą całe koło berlińskie, „Singacademie“ z Rungenhagenem i Grellem na czele, tworzyło rodzaj twierdzy konserwatywnej, o którą rozbijały się wszelkie zapędy postępowe. Zapatrzeni w polifoniczną muzykę wieku XVI, nie czuli, że nie styl Orlanda, Lasso i Palestriny, ale styl Bacha, Haendla, Mozarta, a najbardziej Beethovena stanowi fundament nowej muzyki. Zaskorupieli w uwielbieniu ideałów, według których już za czasów Bacha nikt komponować nie mógł, i żyli w przekonaniu, że jedynie muzyka wokalna jest prawdziwą muzyką, a że wszelka muzyka instrumentalna zawdzięcza swój początek upadkowi muzyki.

Moniuszkę zaś nietylko natura na wskróś liryczna ale i dotychczasowe wrażenia, odbierane prawie wyłącznie na gruncie ludowym, musiały niewątpliwie odpychać od tego wszystkiego, czem go tam karmiono. Tak więc ten nauczyciel, od którego prawie wyłącznie zależał kierunek przyszłej muzyki Moniuszki, naprózno starał się w niego wpoić to, przed czem wzdrygała się całą siłą natura Moniuszki, nie wprowadził go zaś w tajemnice stylu nowego, wyemancypowanego z form tanecznych, stylu, godzącego zasady

homofonji z polifonją, wyrównywającego przeciwieństwa wzajemne, łączącego je w jedną całość.

I tutaj leży wyjaśnienie wielu, wielu rzeczy. Tylko to jest przyczyną, że Moniuszko, wyższy od Smetany natchnieniem, szczerością uczucia, szlachetnością myśli, nie może z nim zagranicą rywalizować, nie posiadając w swych melodjach i harmonjach tego szkieletu kontrapunktyczno-tematycznego. Nie nauczono go wyzyskiwać pomysłów, nie nauczono go trzeźwo się zapatrywać na to, który pomysł zużytkować, a który zostawić w tece, nie nauczono go skupiać się wewnętrznie.

(D. n.)

RAJMUND SCHOLZ.

ZARANIE

wiersz sceniczny, odegrany dnia 13-go lipca 1902 w Brzeżanach podczas obchodu rocznicy Grunwaldzkiej.

OŚWIATA
PRACA
SKRZYDLATY RYCERZ
CHŁOPIEC
DZIEWCZYNA.

Kraj łąki w ramach jasnej, wiosennej zieleni otaczających ją drzew; w głębi z lewej ku środkowi staczająca się skalna mogiła. Ranek jasny, promienny, w niebieskawych oponach mgieł.

Z przodu z prawej na pniu ściętego drzewa siedzi Chłopiec w zadumie, z głową o dłonie opartą; o kilka kroków na prawo klęczy Dziewczyna przed pękiem świeżo zerwanych kwiatów, które przebiera i składa.

DZIEWCZYNA.

Patrz, jak cudnie się pod ręką polne kwiaty plotą!
Każdy kielich, zda się, dzwoni na jutrzenkę złotą,
Płynie w niebo wstęga jasna z woni pól uwita,
Bo na ziemi coś się budzi, coś na niebie świta.
Co tu światła, co tu blasków, niby świec z ołtarzy!
Czegoż dumasz? Czy ci znowu jakaś baśń się [marzy,
Czy ci znowu nić szare mroczne myśli przędą
Za zgrzybiałych, siwych ludzi posępną legendą?

CHŁOPIEC.

Ty się nie śmiej z baśni starych! Gdybyś ty [wiedziała,
Jak baśń taka w duszy skrzy się, jak płomiennie [pała!
W żyłach krew się ogniem toczy, serce z piersi [rwie się,
Bo w niej szumi, bo w niej huczy, niby wichr [po lesie! —

(zapatrzony przed siebie)

Gdy grobową, ciemną nocą idą mgły i chłody,
Za chmurami gwiazd się złocą mgliste korowody,
Wtedy szumi las odwieczny na ojczyste niwy
Sercom wiarę, uszom stare legendy i dziwy,
Rozpłakane dumy, łzawe, dzieje wielkie, krwawe
I od kresów hen do kresów rozdzwonioną sławę,
Spiewa chwile takie jasne, że z nich odgłos leci
Dumnym ptakiem, górnym szlakiem w dale wszech [stuleci!
Idzie duma przez zagony w wędrówkę tułaczą,
Cicho jęczą wody ciemne, kwiaty rosą płaczą,
Z ziemi w niebo mknie tęsknica chmurą lekką, [białą,

A las płacze, a las pyta: Gdzieżto się podziało?
Łąki moje! kwiaty moje! oto wieści niosą,
Że was zerwać, że was ścinać chcą by chwasty
[kosą,
Że w tę ziemię naszą starą, w naszą glebę czarną
Chcą na obcych wzrosłe niwach siać zatrute ziarno!

(wstaje)

O by oni wiedzieć mogli, że kwiat każdy ścięty
Krwią, na której wzrósł, im bryźnie, by męczennik
[święty,
Że krew ciepła spadnie w ziemię i użyźni pole
I znów kwiaty witać będą jakąś jasną dolę.

DZIEWCZYNA
(pod wrażeniem).

Baśń tak ładna! — Ja słyszałam, że gdy noc
[olbrzymią
Czerń zawiesi, to się z mogił krwawe serca dymią,
Jakaś skarga płynie łzawa, płynie żal ku niebu
Taki czarny, taki straszny, niby pieśń pogrzebu!

CHŁOPIEC.

Pieśń pogrzebu?! — Nie! W mogiłach tam nie
[próchno leży,
Tam skrzydlaty w śnie zaklętym czeka huf rycerzy,
Tam zaklęte, niezliczone leżą skarby ducha,
Tleją iskry jasne, święte, z których żar wybucha!
Powiadają, że skądś idzie jakieś jasne rano,
A z zazielenionych mogił zbrojne hufy wstaną
I ze świtów dzień się złoty bez mroków rozprzę-
[dzie —
To nie dzisiaj, to nie jutro, lecz tak kiedyś będzie!

DZIEWCZYNA.

Dziwne, dziwne! Czyś czuł kiedy, jak jutrzenkę
[złotą
Jakąś dziwnie zadumaną wita błoń tęsknotą,
Niby czeka, niby pyta, czy różową strugą
Wreszcie jakiś dzień już płynie wyglądany długo?
I pytają kwiaty nieba, patrzą tęskną twarzą — —
Czyś to uczuł? — Mnie się wtedy cudne dziwy
[marzą,
Mnie się zdaje, że na naszą strojną, uśmiechniętą
Błoń zagościć kiedyś musi jakieś wielkie święto! —
Bo jeżeli błoń to czuje, kwiat wygląda biały,
Czemużby i ludzkie serca tego czuć nie miały!

CHŁOPIEC
(snując bezpośrednio wątek poprzedniej myśli).

Święto, święto! By ołtarze ludzie serca mają,
W zieleń młodą, śpiewy wiodą, wielkie dzwony
[grają — —

DZIEWCZYNA.

Biją dzwony na zagony, złoty kłos kołyszą,
Nad głowami się niebiosa modlą wielką ciszą. —

CHŁOPIEC.

Idą ludzie procesjami a na wszystkie strony
Płyną śpiewy wielkie, silne, niby serc miljony,
Bo to w jedną pieśń się miljon serc i dusz uwiło.

DZIEWCZYNA
(u której nastrój podobnie jak u Chłopca potęguje się coraz bardziej).

Ja widziałam, jam to śniła — ach! to śliczne było!
A tak cudnie pieśń śpiewali, tak przecudnie grali,
Jakby z nieba zstąpić mieli aniołowie biali!

CHŁOPIEC.

I anieli zejdą z nieba a w odwiecznej wierze
Wstaną z mogił, w róg uderzą, pójdą w świt
[rycerze!

DZIEWCZYNA.

Wstańcie, wstańcie wy, co śpicie! Niech z mo-
[gilnej celi
Poszum skrzydeł i oręża skrzący blask wystrzeli!
Wstańcie, wstańcie! Was wołają na słoneczną erę
Dusze swoje, serca swoje, a tak bardzo szczere!

CHŁOPIEC.

Oto widzisz, tak się z chmurnych legend święto
[rodzi!

(Rycerz występuje i staje nad grobem).

DZIEWCZYNA
(chwytając Chłopca za ręce).

O my pójdziem w święto! — prawda? — bośmy
[dzisiaj młodzi!

RYCERZ.

Rdzawe oręże,
Gdy w rękę schwycą
Zbudzeni męże —
Módl się za nami
Boga Rodzico!

(Milczenie; Chłopiec i Dziewczyna do siebie przytuleni, patrzą zdziwieni, lecz bez trwogi).

Kto nas budzi? — Kto nas woła? Gdzie się
[hasła niecą?
Jeszcze mgławy mrok dokoła, tylko gwiazdy świecą,
Tylko w snów migotne kręgi dobra chęć wykwita —
To brzask chęci i przysięgi — bo dzień czynów
[pyta!
Czyli serca już gotowe? czy gotowe dusze?
Czy wygnane z łon niezdrowe i bezkrwiste głusze?

Czy spłacone krzywdy stare, by w godzinę cudu
Na ołtarzu ujrzeć wiarę, czyn i serce ludu? —
Łzy gorące, serca wrzące, to nie starczy jeszcze,
Lecz niech wspólnych sił tysiące wcielą słowa
[wieszcze,
Niech chęć skrzepła czynu głazem piętrzy się
[kolumną
I świątynię wszystkie razem wzniosą świetlną,
[dumną,
A podstrójcie serce swoje w wielkie Sursum corda!
Przełkną własny jad oszczerce, zmilknie płaska
[horda,
Własna hańba ich oniemi, zdławi próżne wycie —
Ziemia wasza z was, wy z ziemi a dla ziemi życie!
Gdy w mogiłach wrzask ich niemy w pierś nam
[puka twardą,
My nie płaczem, my nie klniemy, ale plujem
[wzgardą.
Wzgardą plujcie! Niech się wieże, z ciosu zamki
[piętrzą,
Z serc silniejsze są puklerze zbrojnych w broń
[najświętszą!
Tam spojone jadem piaski, tutaj duchy mężne,
Tu w odpowiedź grzmią na wrzaski gromy prac
[potężne,
Niechaj wzgardą się nad niemi posąg dumy bieli —
Wszakżeż oni w naszej ziemi nam u stóp klęczeli!
Rzucić trwogę! Skrę przygasłą wróżby serc nie-
[mylnej
Zbudzić musi jedno hasło: Oto myśmy silni!! —

Gdy krzykniecie, bijcie w dzwony — wtedy się
[otworzy
Grób nasz tam od wschodniej strony, wyjdzie
[hufiec Boży,
Czerń mogilną blask rozpęta, zetrą rdzę oręże,
W przyszłość pójdzie przeszłość święta, bo się
[zbudzą męże,
Wrząca krew obiegnie żyły i lot zaszeleszcze! —
Dziś ja wracam do mogiły, — czas nie wybił
[jeszcze!

(zstępuje nieco niżej, — łagodniej, cieplej)

Lecz się śpieszcie, dzieci, śpieszcie! Chodźcie bli-
[żej do mnie!
Nam za wami w grobie, wierzcie, tęskno tak
[ogromnie — —
Dajcie kwiat z rodzinnej błoni, niechaj w sen
[grobowy
Nam o świtach tutaj dzwoni szeptem naszej mowy!

(Dzieje się stosownie do słów).

O! swych kwiatów strzeżcie, dzieci! One wzro-
[snąć muszą
W duszę, by je wydrzeć można chyba razem
[z duszą,
A zadzwonią kiedyś dzwony, wtedy przed ołtarze
W swe ojczyste strojne kwiaty złożym serca w darze!

(Zwykłym głosem)

My czekamy!

(Znika w mogile).

(Dok. nast.)

23)

Dzieje mieszkań ludowych w Polsce.

STUDJUM HISTORYCZNO-PORÓWNAWCZE.

ROZDZIAŁ V.
Palowcy w dziejach kultury Europy i Polski.

W poprzednim rozdziale rozważyliśmy jakość i wielość śladów namiotowej kultury stepowców, co jak gałązka została wszczepiona w płonkę palowej kultury „praeuropejczyków“. Próbowaliśmy również odnieść do typu namiotowców, wiele jeszcze na wskroś współczesnych zjawisk w życiu i w sztuce tak u naszego narodu, jakoteż u najbliżej nam pokrewnych. Tem, czem były namiotowe mieszkania dla stepu, tem są palowe

mieszkania dla bagien, dolin jeziornych i mokradeł rzecznych. Europa środkowa w okresie polodowym przeżyła czas wielkich bagien i z owej pory mamy sporą ilość śladów palowych, ale już osiadłych mieszkań, sięgających powstaniem swojem jeszcze czasów kultury kamiennej, kiedy mało co ogładzony krzemień najważniejszem był na narzędzia robocze i broń tworzywem.

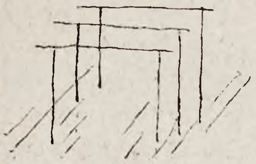
Jako rodzimy typ budownictwa przedindogermańskiego, zastali przy swojem wejściu do Europy stepowcy namiotowi palowe mieszkania, i musieli przystosować się do nowych warunków gospodarczo-życiowych. Mimo to tysiącami lat nabyte na stepach doświadczenia i zwyczaje nie zaniknęły, jak widzieliśmy z całego poprzedniego rozdziału, do szczętu, a owszem stopiwszy się z nowymi nabytkami w jedno, przetrwały długo po za kres warunków, które je niegdyś wywołały.

Kultura, którą stepowcy przy swojem wejściu wzdłuż rzek i brzegów morskich w Europie znaleźli, wytworzona została przez Palowców, to jest szereg ludów, które pominąwszy swoje antropologiczne odrębności, musiały życie swoje spędzać w mieszkaniach palowych i dostosować gospodarstwo swoje do warunków na wskroś różnych od tego, co jest właściwością stepu.

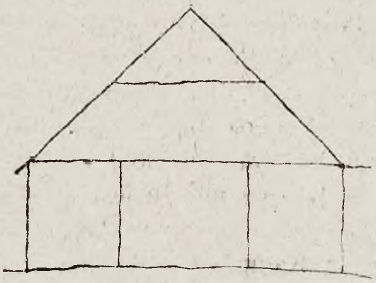
Zasadniczym zaś mianownikiem kultury „Palowców“ — jest jej osiadłość, stałość osad, która znacznie wcześniej pozwala na wytworzenie się rolnictwa, niż to się dzieje u ruchliwych wędrujących stepowych ludów. — Na miejsce więc pra-europejów — tubylców — wcisnęły się nowe plemiona, zajmując bardzo często zapewne pozostałe po poprzednikach palowe mieszkania. Mieszkania te dotrwały jak wiemy gdzieniegdzie do historycznych czasów. Już Hippokrates wie o nich przy „Phasis“ (op. om. Edit. Kuhn. I. p. 551). Herodot opisuje je dokładnie. Były na jeziorze Prasias, przez które przepływała Struma, rzeka zwąca się dziś po turecku Kara Su, jako dopływ morza Egejskiego. Budowle palowe Daków, które gorzeją wskutek pochodni płomiennych rzymskich są przedstawione w płaskorzeźbach na kolumnie Trajana. Weneci uciekają przed wrogiem na pale. Dumichen z XVII. wieku wie o budowlach palowych hen przy Czerwonem morzu. „Czasowe na palach zbudowane domy widział Hartmann jeszcze w r. 1867. przy jeziorze Garda. Takich budowli palowych używają też rybacy na Dunaju powyżej Braiły. (Nowoczerkask w okręgu dońskich kozaków, ma być również częściowo na palach zbudowany.“ (Hartmann. „Über Pfahlbauten Zeitsch. f. Ethnol. II. 3.) W Rzymie jeszcze za czasów republiki mieściło się na błotach Kampanji 33 miast, które dopiero po zniszczeniu zaginęły. Cała Kampanja była bowiem jednem wielkiem bagnem, a w pewnej mierze jest niem jeszcze do dzisiaj. Również w dolinie Padu, oddzielonej Apeninami od Kampanji w okolicy Parmy, Modeny, Reggio Emilia istnieją wzgórkowate utwory około 5 m. wysokie, a o 60 do 70 m. średnicy, zwane z włoska „Terra di mare“ (napływowa ziemia), które wyszły z konstrukcji palowej w tych błotnych okolicach. Tam śmiecie i odpadki kuchenne rosły z biegiem długich lat tworząc w ten sposób miąższ wzgórza, na którem mieszkali ludzie podnosząc tylko od czasu do czasu samo pole mieszkań. Kilka z tych Terramarów należy do neolitycznych czasów, większość jednak zawiera w sobie pierwotne narzędzia bronzowe, które głównie do użytku domowego i rolniczego służyły. Podobne „Terradi mare“ znajdziemy również gdzieindziej, przy szczegółowem omawianiu niniejszego zagadnieniu.

Friedrich Seesselberg, architekt niemiecki, wydał niedawno piękne dzieło zatytułowane: „Die frühmittelarterliche Kunst der germanischen Völker“.

W dziele tem rozbierając skład i układ chaty germańsko-skandynawskiej przychodzi do następujących wniosków. Podstawą konstrukcyjną tak mieszkań palowych jakoteż chaty równinowo niemieckiej, jest słup wbity w dno jezior przy mieszkaniach palowych, w ziemię w norweskich stubkirken, lub w podwalinę drzewną, jak u dzisiejszej chaty niemieckiej. Słupy te związane są u góry płatwą, która tworzy u mieszkań palowych pomost wyłożony deskami lub krąglakami, a w mieszkaniach wytwarza wątek składniczy, który u Niemców nazywa się „Fachwerk“, u nas zaś zwie ją prof. Sokołowski ryglówką a lud zaś mieni to samo „murem pruskim“.



WIZERUNEK 13.
Szemat linijny układu palowego nawodnego.



WIZERUNEK 14.
Szemat linijny pochodny z konstrukcji palowej, a właściwy składowi. chaty dolno-niemieckiej.

Czasem dla lepszego utrwalenia łączą obydwa słupy, wewnątrz prostokątnego pola, dwa poprzeczne kawałki drzewa, idące niby po przekątni, i tworzą często ozdobnie wycinany wątek „krzyża św. Andrzeja“, widoczny na typie chaty niemieckiej, której rycina powyżej jest załączoną. W późniejszych jeszcze czasach, próżna przestrzeń wypełnia się kamieniami lub cegłą w wapno wprawianą i stąd pochodzi nasza ludowa nazwa muru „pruskiego“, wskazująca jednocześnie przymiotnikiem swoim na obcość tego sposobu budowania naszemu narodowi.

Dalsze badania p. Seesselberga wykazały, że ten wątek „palowy“ chaty niemieckiej nie jest ściśle związany z „duszą rasową“ Niemców. W Skandynawji, gdzie mieszkań palowych nigdy nie było, zachował się tylko szczątek tego układu w typie hieratycznym świątyń drewnianych norweskich i to jak także p. Seesselberg przekonowującymi rysunkami wykazał, silnie zostającym pod wpływem masztów i wiązania szkieletów w łodziach staro-normańskich. Natomiast „bur“, to jest mieszkanie chłopów norweskich, ma zupełnie podobny wątek składowy, jaki jest u dzisiejszych naszych chat, i bywa budowane stale na wieniec, kład i wiązane na zamek (Blockbau, w Prusach wschodnich Quersass Gersass). Nawskroś byłoby jednak błędnem wywodzić z tego jakiekolwiek wnioski na temat zaszczepienia powyższego systemu w Polsce w czasie „najazdu Normanów“ dokonanego, w Szwajcarji bowiem jedno i to samo plemię Allemanów, zgoła się nie trzymało jednostajnego systemu budowania, ale na jeziornych dołach rozwinęło ryglówkę, natomiast w górach, gdzie jak wiadomo niebyło materjalnych warunków na utworzenie palowych mieszkań, to jest niebyło bagien, istnieje kulturą długich wieków przepięknie wyrobiony system budownictwa wieńcowego ,,na zamek“, które kiedyś prawdopodobnie istniało w Grecji, a utrzymuje się do dzisiejszych czasów prawie w całej słowiańszczyźnie. Z Germanją znowu nawskróś jest związaną Italja, od której rozpoczniemy szczegółowe rozważanie palowego budownictwa.

W Italji warunki, panujące wówczas prawie we wszystkich ówczesnych równinach, wywołały prawie nieprzerwaną kulturę palową.

Wprawdzie przyszli Arjowie ze Wschodu, mający bardzo odległe, bo może jeszcze kolebki Indo-germańskiej sięgające wspomnienia mieszkań skalnych, dalej przynieśli ze sobą na długich wiekach wędrówki, wykształcone namiotowe słownictwo, kulturę i urządzenia społeczne, to przecież błota i bagna dolin włoskich a zwłaszcza Kampanji rzymskiej były silniejszym panem, aniżeli poprzednie nawyknienia i zmusiły do przemiany systemu mieszkaniowego. Widzimy to z licznych ,,Terramare“, utworów, które Helbig stanowczo do Italików odnosi (Palowe mieszkania w dolinie Padu). ,,Dwa prądy Italików wdarły się do Włoch.

Z Epoki legjonów.

Jest to wiązanka listów do albo od Józefa Wybickiego, senatora wojewody, pochodzących z czasów między 1798 a 1809 t. j. odnoszących się do epoki legjonów. Listy te pisane są do rozmaitych osób i co do treści nie mają z sobą łączności. Najwcześniejsze co do daty są 2 listy Wybickiego:

1. adresowany do gen. Dąbrowskiego, w razie jego nieobecności do gen. Kniaziewicza z Medjolanu 16 Ventôse (5. lutego), rok wymieniony nie jest, prawdopodobnie ten list pochodzi z 1798 roku. Donosi radosną nowinę, że legje polskie mają być i nadal uważane jako auxyliarne, a nie jako własne cysalpińskie. Wyraża zupełną pewność co do pomocy francuskiej;

2. do gen. Kniaziewicza z Frankfurtu, bez daty; prawdopodobnie pisany w 1801, po zawarciu Lunewilskiego pokoju, lecz przed ustąpieniem polskich legji królestwu Etrurji i rzeczposp. cysalpińsk. Zupełnie inny ton listu, widać, że autor stracił nadzieję na pomoc zagranicy sprawie polskiej. Z Dąbrowskim się od wyjazdu z Paryża nie komunikował, wie o nim tylko z gazet;

3. list Dąbrowskiego do Wybickiego z Paryża, 3 Nivôse 8 r. (23 grudnia 1800), do Pfalzburgu. Tyczy się wyłącznie spraw prywatnych i świadczy o serdecznych stosunkach między nimi;

4. i 5. Dwie kartki Tadeusza Kościuszki do Wybickiego, z Paryża datowane z dnia 9 Nivôse (29 grudnia) i 24 Ventôse (12 lutego) 9 r. (1801 r.). Kościuszko donosi o wyjeździe Dembowskiego do Włoch. Obie kartki dowodzą, że Kościuszko był wybornie powiadamiany o obrotach legjonów;

6. kartka Dąbrowskiego do Wybickiego z Berlina do Drezna, datowana z 8 paźdz. 2806 r., pisana po francusku; kartka pisana na rozkaz Napoleona pośpiesznie, wzywa Wybickiego do natychmiastowego przybycia, donosi o nadziei wskrzeszenia Polski, nakazuje sekret;

7. List Kniaziewicza do Wybickiego z Porycza z 13 lutego 1807 r. Kniaziewicz nie brał udziału w zwycięskich walkach Napoleona z Moskwą w 1806 r;

8. List ks. Józefa Poniatowskiego do Wybickiego z Warszawy 29 kwietnia 1807 r., tyczy się spraw gospodarczych armji i świadczy, że Wybicki zawsze bardzo sumiennie sprawował przyjęte obowiązki żywienia i ubierania armji. Sądząc z tego listu, kasa wojskowa armji ks. Józefa znajdowała się wówczas w złym stanie. Wybicki zaspokoił wydatki ze swego funduszu;

9. list Niemcewicza bez daty, prawdopodobnie z czasów ks. Warszawskiego, do Wybickiego, jako do członka senatu. Prosi go, aby nie brał do serca urazy i nie ustępował z rady. Wątpliwem chyba jest, aby tutaj była mowa o rezygnacji Wybickiego z godności prezesa komisji, układającej się z dłużnikami sum bajońskich;

10. list Wybickiego do gen. Kosińskiego z Poznania 9 maja 1809 r., dowodzi, że Wybicki nie miał ani zdolności, ani wiadomości strategicznych. Chodzi o to, czy należy Poznań opuścić, czy też się w nim bronić;

11. list Wybickiego do Dąbrowskiego z Poznania 27 maja 1809 r., znaleziony w papieracb Kosińskiego, ale z tonu i treści odnoszący się do Dąbrowskiego (adresu nie ma).

Pierwsze 7 listów znajdują się u p. Boguchwała Kraszewskiego na Litwie w Grodzieńskiej gubernji, 2 ostatnie przepisane z prywatnych papierów po Amilkarze Kosińskim.

Wszystkie zostały przysłane Dr. L. Finklowi profesorowi Lwowskiego Uniwersytetu.

List Wybickiego.

Adres: Generałowi Dąbrowskiemu w jego niebytności Generałowi Kniaziewiezowi, S. Wielhorski raczy ten list zaraz do głównej kwatery przesłać.

* * *

z Milanu 16 Ventôse (5 II).

Niewiem, czy nasz Gen. Dąbrowski w Głównej swey kwaterze, czy do nas iedzie, ponieważ S. Berthier przyjechał, na wszelki wypadek spieszę się ukochanym Legionistom, naważnieyszą dla Ich cnoty donieść nowinę — wprzód tylko niech zwykła każdego officera roztropność dla swych dusz ią zatrzyma, niech się nią cieszy, tak przecie aby publicznie nierozeszła się mię tutej-

szemy Rodakamy, bo tak i do mnie z Paryżu pisano, iż tam Barssa przestrzeżono, aby nie głosić nadto ect. Except zaś listu Barssa co do słowa jest taki: „te kilka słów które do Gen. Dąbrowskiego pisać miałem, adresuję do Ciebie ob: bo Generała zapewnie nie masz w Medyolanie. Bądź więc pierwszy uczestnikiem mey radości. Cysalpiny już prawie dotarły aliansu zaczepnego, odpornego i handlowego z Francyią. W czasie układania artykułów onego kwestyia wprowadzona została, czyli Legije Polskie maią daley bydź uważane, iako woysko auxyliarne, czyli iako własne Cysalpińskie (sukcesor niemęgi (?) NB. to jest Merlin .... sukcesor Barthelowi ... ;) utrzymał auxyliarność. I wiem z pewney strony, że do lat trzech zawarowana jest Legijom Exystencyia rodowitych Polaków. „Niech żyje RPlta francuska y przy niey RPlta Polska!!! To wszystko co pragnąć mogliśmy. Exystencya Polski jest w sistemacie Francyi, zawiązek narodu uważany w Legijach, auxyliarność narodowa naszym u nich zawarowana. Dociekacie Bracia ile ta pociecha nagła zaziera duszę y wszystkie zmysły moie — nie iestem wstanie więcej pisać — zaśpiewaycie — Jeszcze Polka nieumarła! — To iest nowina nie głośna że alians z Francyią RP. Cysal. zawarła, że Jey granice sie kończą się z Pol...

Leo y Vesero — odkąd idzie RP. Rzymska — negocyacye się kończą, ale... , dziś list odebrałem — „Jeszcze iest nadzieja, że o naszej biedney Polscze... się i obce dobro dyskucyie..., bo Elektor saski iest wybrany od Rzeszy do traktowania pokoju z RPltą Fran—. To nadto pokarmu dla zgłodniałego. — Już dziś więcej pisać nie mogę. Kochani y Szacowny Legioniscy coście synamy matki być nie przestali o to iuż do was zda się ręce wyciągać y do swych piersi przytulać. Postępuycie y trwaycie zdala w waszych cnotliwych zamiarach, doydziemy naszego celu — obaczemy matkę naszą — Niech żyje — niech żyje. —

Dla mnie za tę nowinę ucałowanie Braterskie. Nie wiem gdzie nasz kochany Stworca Legijów G: Dąbr: Jego się tu możem doczekać.

EMMA JELEŃSKA

18)

Z MIŁOŚCI.

Pierwsza poszła mu w służbę Wanda. Na dnie jej serca, bezwiedna, kryła się przez życie całe tęsknota za tą „służbą.“ Dawniej inaczej ją pojmowała — jako dar całej swej istoty, jako zlanie się w jedno z ukochanym człowiekiem, któremu by się stała koniecznym życia warunkiem, towarzyszką, pomocą, pociechą, zachętą, nagrodą najwyższą, powietrzem piersi jego, światłem jego oczu. Do tego nie doszło. Mąż ją kochał, ale po swojemu. Oddawać jej siebie ani myślał. A z jej uczuciami, marzeniami i dobremi chęciami nie wiedział co ma robić. To było mu niepotrzebne.

Więc zamknęła się. „Ani wnikać w jego duszę — ani mu swojej otwierać nie będę“ — rzekła sobie, zaciskając usta. „Nie — to nie.“ Głupią byłam, śmieszną i naiwną gąską, szukając w małżeństwie czegoś wyższego. Kochanką być i gospodynią — oto wszystko, czego od kobiety żądają. Trzeba umieć być na swojem miejscu. Pozostała więc kochanką miłą, uprzejmą i ponętną i stała się gospodynią wzorową. Mąż był na pozór zadowolony.

Ale w niej człowiek cierpiał. Coraz głębiej w duszę jej zapadało zniechęcenie i żal, coraz szerzej smutek się w niej rozlewał i ogarniał ją

całą. A też i w coraz ciemniejszy zakątek kryło się jej właściwe *ja*, i coraz grubszym murem oddzielało się od świata. I żyła z dnia na dzień, samotna i, jak to sobie ciągle powtarzała, — na nic nikomu niepotrzebna.

Maskę spokoju i zadowolenia umiała tak szczelnie do swej twarzy przykroić, że nikt się niczego domyśleć nie mógł. Zdarzały się jednak chwile, że ta maska zsuwała się nagle i szalona tęsknota, ból i żal ją porywały — żal za zmarnowanem życiem, i tęsknota za jakąś bliską, swoją istotą. Raz, w jednej z chwil takich, Karol ją ujrzał znienacka, gdy z wyrazem bezgranicznej rozpaczy załamywała ręce — a z ust jej wyrywał się jęk. Poskoczył ku niej, otoczył ramieniem, rozpytywać się zaczął. Ale było już zapóźno. Dawna ufność już wygasła i nie zbudziła się teraz. Wytrzeźwiała natychmiast na jego widok. Potrafiła zamknąć się znowu, zbyć go obojętnie — a nawet zaraz potem rozmawiać i śmiać się. W nim pozostał cierń niepokoju, ale zagłuszyły go wprędce realniejsze i dotykalne troski, których wówczas mu nie brakowało. Czasami, w spokojnej chwili, cierń ten się wysuwał i kłóć go zaczynał i jakiś cichy szept w nim się odzywał: Ona jest nieszczęśliwa. Wtedy więc robił rachunek sumienia — czem względem niej zawinił? Wszakże był dobrym mężem, delikatnym w stosunkach, dbałym o jej zdrowie, o jej przyjemności, dawał jej zupełną swobodę, w niczem nigdy nie krępował, dostarczał pieniędzy, nigdy jej przykrego słowa nawet nie powiedział, pracował jak wół, a głównie dlatego, aby jej na niczem nie zbywało, kochał ją prawdziwie, z całego serca. Jakże by ona mogła być nieszczęśliwą? Były to więc tylko chwilowe napady melancholji, którym ulega bardzo wiele kobiet. Dobrze jeszcze, że przechodziły prędko i nie wywoływały scen.

Choroba ciotki Korzyńskiej stała się dla Wandy zbawienną odmianą w jej pustem życiu. Miała o kim myśleć, o kogo się troszczyć — i naraz uczuła się ogromnie komuś potrzebną. A ona w sercu nosiła takie zapasy czułości, troskliwości, takie skarby do rozdania! Dotąd leżały tam niewyzyskane.

Jej starania przy chorej ciotce wzbudziły uznanie i zachwyt wszystkich otaczających. Prawdziwa siostra miłosierdzia! — mówiono. A ona, słysząc to, uśmiechała się — i myślała, że to zadowolenie, jakie czuła w sobie, więcej było warte od wszelkich poświęceń.

Gdy ciotki zabrakło, od razu troskliwość swą przeniosła na Lutka. Po śmierci matki, zrozpaczony, rozszlochany, bezradny, do niej się zwrócił. Wydało mu się rzeczą całkiem naturalną, że ktoś o niego troszczyć się powinien. A któż był do tego bardziej odpowiedni, niż ta, która nadewszystko pragnęła być komuś potrzebną?

I teraz więc, gdy na stałe się przeniósł do mieszkanka matki, odrazu Wandę pasował na pierwszą swą służebnicę. Co chwila jej potrzebował. Szła z nim wybierać materjały na ubrania, kupowała mu spinki, szczoteczki, mydło, dawała rady w ustawieniu mebli, czytywała mu głośno te książki, które go zajmowały, bez względu na to, że nieraz były już jej znane, chodziła z nim na przechadzki, i to tylko tam, gdzie on chciał, słuchała jego nieskończonych gawęd. I była zadowolona. Czas jej i myśli były zajęte a jeśli niekiedy ta służba stawała się uciążliwą, to wszystko wynagradzała myśl, że nakoniec znalazł się ktoś, komu jest potrzebną.

Zresztą, Lutek był bardzo miłego charakteru. Nigdy żadnej niecierpliwości, ani złego humoru. A mówił tak przyjemnie i był rad ze wszystkiego. Do niej zaś przywiązywał się coraz bardziej i miał coraz to nowe sposoby okazywania swych uczuć.

— Kuzynko Elegjo! ja chcę mieć twój portret. Brakuje mi tego w mieszkaniu.

— Alboż jeszcze nie dosyć mnie widujesz, Lutku?

— A nie dosyć. Rano, gdy się obudzę, potrzebowałbym zaraz spojrzeć w twoją twarz. Miałbym wtedy więcej energji do wstawania i do rozpoczęcia dnia. A tak — leżę i czekam, aż coś mnie z łóżka wyrzuci.

— Więc ja mam służyć ci za taką sprężynę? za taki motor?

— Właśnie, właśnie! za motor. I tak jest w istocie, kuzyneczko. Teraz jesteś jedynym motorem w mojem życiu. Żeby nie ty, to nie wiem, cobym zrobił — wściekłbym się — czy co!

— Mój Boże, Lutku — jakie ty nonsensy pleciesz!

— Wcale nie nonsensy, ale świętą prawdę. Nie wierzysz? Ale pomyśl tylko, cóż ja mam na świecie, prócz ciebie, Elegjo!

Wanda westchnęła. Co on miał? Miał młodość, zdrowie, siły, bogactwo i życie przed sobą i serce nietknięte i wolne ręce.

Ach, jak to było ogromnie wiele! I zdało się jej, że czuje własną twarz swoją pokrytą zmarszczkami i ciężar ciała swego, które zaczynało się starzeć i ból siwienia — i więdnięcie starości.

Wszelkie próby namówienia Lutka, aby coś zaczął robić, spełzły na niczem. Napomnień Karola słuchał uważnie, nie stawiał wyraźniej opozycji — nawet, przyparty do muru, obiecywał, że wszystko zrobi. Ale potem, na cztery oczy, mówił do Wandy.

Jednak przyznaj, kuzyneczko, że ten Karol, razem ze swojemi zasadami, to straszna piła! Musiałem wszystko mu obiecać, bo jeszczeby mnie z domu wyrzucił — co? Ale byłbym głupi, gdybym sobie życie psuł jakiemiś tam „obywatelskimi obowiązkami“.

Ja nawet nie wiem, co to są za stworzenia, te obywatelskie obowiązki! Mój Boże, i po co to ludzie tyle zasad sobie wymyślają! To i biedna mama nosiła się zawsze ze swojemi zasadami, a cóż jej to pomogło?“ Wzdychał na wspomnienie biednej mamy, ale coprędzej odrywał od niej myśl. „Szczęście, kuzyneczko, że ty zasad nie masz!“

„Jakto, Lutku! ależ ja mam zasady! i to bardzo silne, bardzo...“

— E! takie zasady! one mi wcale nie przeszkadzają. Nie kradniesz, nie upijasz się, nie zabijasz — to i ja tak samo. Ale tych „społeczno-narodowo-obywatelsko ludzkich“ — to nie masz. I to całe szczęście, bo tak samo, jak Karol, zaczęłabyś mnie namawiać do pracy, do działalności, etc., etc.“

— Ja cię nie namawiam, Lutku, bo nie chcę cię nudzić. Ale tak samo, jak Karol, myślę, że człowiek młody, zdrów, zdolny, bogaty...

— Powinien zabrać się do „obywatelskich obowiązków“, albowiem kraj nasz potrzebuje współudziału wszystkich bez wyjątku itd., albowiem bezczynność jest prawie zbrodnią itd., albowiem brak określonego zajęcia wpływa ogłupiająco na umysł, itd. w nieskończoność. A co — czy dobrze umiem lekcję?“

Na tem się kończyły najpoważniejsze usiłowania i Lutek wiódł dalej życie wedle swych upodobań, a o żadnej zmianie ani myślał. C. d. n



Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. Henryk Galle: *Twórczość poetycka Marji Konopnickiej w ciągu dwudziestupięciu lat.* Warszawa 1902 E. Wende i Ska. Str. 133. okładka rysunku A. Kamieńskiego.

Zdając sprawę w jubileuszowym numerze „Tygodnia“ z pracy p. Gallego nie mogłem dostać do rąk e wydania książkowego, wskutek czego zmuszony byłem trzymać się tego tylko, co „Bibljoteka warszawska“ w zeszycie czerwcowym z r. b. z pracy tej zamieściła. Obecnie mając do rozporządzenia samą książkę, uzupełniam poprzednie moje sprawozdanie, naprawiając w ten sposób krzywdę wyrządzoną mimowoli autorowi, którego cenną pracę, jako fragment traktowałem. W dalszym ciągu swego studjum, drukowanego w lipcowym

i sierpniowym zeszycie „Bibljot. warsz.“ omawia p. Galle następujące prace Poetki z ostatniej, najświetniejszej dobry jej twórczości po r. 1902, a więc: Pana Balcera w Brazylji“ (1892—1901), serję IV. „Prometeusza i Syzyfa“ (1892), poezji (1896), „Na drodze“ (1893), „Nowele“ (1897), „Italię“ (1901) oraz cały szereg przekładów, jako też artykułów i studjów literackich. Spotykamy tu te same zalety, o których już nadmieniłem przy omawaniu pierwszej połowy tego studjum więc zupełne opanowanie przedmiotu, sumienność i szczerą chęć wniknięcia w duchu Poetki i jej epoki. Wartość studjum podnosi nadto jeszcze piękny język i na każdym kroku widoczne, choć nigdzie w bezkrytycyzm nie przechodzące, umiłowanie przedmiotu.

Wszystko w poezji Konopnickiej — tak kończy autor swą pracę — zmierza ku jednemu celowi: i kwiecistość dwu pierwszych serji *Poezji* i filozoficzne głębie *Fragmentów* i prostota *Nowel* i muzyczna doskonałość *Na fujaree* i niebotyczne wyżyny artyzmu *Italii* i nieobjęty tragizm *Pana Balcera* — to całe bogactwo swoje nieprzebrane składa Konopnicka na ołtarzu dobra społecznego. I to właśnie czyni ją tak bliską sercu naszemu mimo olbrzymich wyżyn ducha twórczego, na jakie wzniosła się autorka *Prometeusza i Syzyfa i Pana Balcera w Brazylii*... Łączy ona przedziwnie w swem usposobieniu poetycznem iście kobiecą wrażliwość na boleść wszelką z prawdziwie męską stalowością, nie tylko rany jątrzące cię odsłoni, ale i wnet pospieszy z kojącym balsamem“... „Wielka miłość ludu, głębokie odczucie jego uciech, troski i cierpień przenika całą twórczość Konopnickiej. Olbrzymi „uczuciowy krąg“ Poetki obejmuje coraz szersze, rozleglejsze horyzonty i już nie ogranicza się chatą i niwą nad Wisłą, Sanem lub Wartą, lecz rozciąga się miłośnie na obie półkule, idzie wraz z Balcerem wszędzie, gdzie serce polskie bije i cierpi i duch się łamie i miota. Jak *Pana Balcera* nazwaliśmy epopeą ludu naszego, tak Konopnicka wogóle jest prawdziwą Poetką ludu: wszystkie ogniwa jej twórczości stalowe, srebrne i złote, drogimi kamieniami świecące w ten krąg się wplatają i wiążą!“. *A. C.*

Hygiena kobiety. Napisał Dr. Władysław Hojnacki. Lwów, 1902. Nakładem Księgarni polskiej B. Połonieckiego.

Nie brak i w naszej literaturze popularnej różnych poradników dla kobiet, pouczających o warunkach zdrowia, usuwających szkodliwe przesądy i przyzwyczajenia. Mimo to dziełko p. D-ra Hojnackiego bynajmniej nie jest zbytecznem i owszem witamy je, jako pożądany podręcznik hygieny dla niewiast. Postępy w nauce lekarskiej zmieniły do gruntu wiele dawnych błędnych zapatrywań i sprowadziły zmianę w postępowaniu podczas najważniejszych okresów życia kobiecego a nie pozostały bez wpływu na hygienę także i poza okresami macierzyństwa. Wobec tego dawniejsze podręczniki tego rodzaju nie odpowiadają już obecnemu stanowisku nauki i chociażby posiadały pewne zalety, jako przestarzałe i w błąd czytelniczki wprowadzające, zasługują na wyrugowanie z obiegu. Zastąpić je może książka p. D-ra Hojnackiego, napisana zresztą w sposób ujmujący, stylem popularnym i pięknym. Autor, specjalista w leczeniu chorób kobiecych, podpatrzył dobrze naturę kobiety i umie do niej przemawiać przekonywująco, licząc się z psychologicznymi momentami swych czytelniczek, nie poświęcając atoli dla nich prawdy nawet tam, gdzie czuł obowiązek wypowiedzieć ją bez osłonek.

Jak daleko dziełko różni się treścią od innych dawniejszych wydawnictw podobnych, wskaże bodaj ta okoliczność, że autor we wskazówkach, odnoszących się do porodu i połogu, idzie za najnowszym kierunkiem medycyny, dającym najlepsze wyniki a polegającym na zachowaniu ścisłem tak zwanej aseptyki, podczas gdy do niedawna panowała w tej dziedzinie metoda antyseptyczna.

Zresztą znajdujemy w tej pożytecznej książce oprócz ostatnich wyników nauki także bardzo trafne osobiste spostrzeżenia autora. Między innemi propaguje myśl, aby kobiety polskie wytworzyły sobie własną, rodzimą sztukę ubierania się, liczącą się z oszczędnością i wymogami hygieny (str. 38). *M.*

SZTUKA. *Pierwszy „Salon“ polski.* Z góry zaznaczyć należy, że piękną myśl Jacka Malczewskiego stworzenia „Salonu“ polskiego t. j urządzenia stałych wystaw okrężnych, któreby gromadziły najcelniejsze dzieła corocznej polskiej produkcji artystycznej, zaraz w zaczątku samym spaczyło... wykonanie. Nieusłuchano, niestety, mądrej rady tych, którzy proponowali wybranie jury wyłącznie z grona znawców niezawisłych od żadnych względów ubocznych, partyjnych czy osobistych, lecz wybrano jury zarówno jak i komitet z grona malarzy — i oto rezultat wypadł jak najfatalniej. Nie chcemy obwiniać nikogo, a już najmniej genjalnego i pełnego chęci jak najszlachetniejszych prezesa „Salonu“, musimy jednak skonstatować fakt smutny, że pierwszy „Salon“ polski, otwarty w krakowskim T. P. S. P., nie różni się prawie wcale swym poziomem artystycznym od wystaw zwykłych, że nie zdołał on zgromadzić wielu z najwybitniejszych imion, a że natomiast zgromadził wiele miernot i gorzej niż miernot, które w nim żadną miarą znaleść się nie były powinny. Z jakich n. p. przyczyn większość członków towarzystwa „Sztuka“ świeci w „Salonie“ nieobecnością — o to mniejsza, bądź co bądź bez tej grupy, w której dziś gromadzą się prawie wszyscy pierwszorzędni artyści polscy, „Salon“ polski, jeżeli ma być rzeczywiście „Salonem“, pomyśleć się poprostu nieda. Brak więc zupełnie Chełmońskiego, brak Wyczółkowskiego, Mehoffera, Dębickiego, Fałata, Szymanowskiego, Laszczki, brak również Pieńkowskiego, Tetmajera, Tichego i innych, o których uczestnictwo należało postarać się koniecznie. Axentowicz nadesłał tylko jedną ze swych uroczych ale powszechnie już znanych główek kobiecych, Stanisławski kilka zaledwie ze swych małych rozmiarami ale wartością wielkich krajobrazów, Malczewski wreszcie, prezes „Salonu“, przez zbytnią prawdopodobnie delikatność, wystawił jednego tylko „Skowronka“. Wystawili natomiast swe „dzieła“... ale „muzo, od imion własnych wara“, jak mówi Słowacki.

Honor „Salonu“ takiego, jakim jest obecnie, ratują głównie: Malczewski, Pankiewicz i Ruszczyc. Ratuje go

zaś przedewszystkiem W y s p i a ń s k i. Talent to potężny i jak mało który ze współczesnych indywidualny. Olśniewa on zewnętrznie techniką i porywa głębią wewnętrzną, będąc zawsze sobą do tego stopnia, że każde jego dzieło poznać można zaraz od pierwszego wejrzenia. Dał on fragment witrażowy, nową wizję, którą by można zatytułować „Polonia“. Ciernisty krzak różany w głębi i kwiaty, te przedziwne kwiaty mistyczne, których nikt drugi chyba tak jak on stylizować nie potrafi, a na tem tle: omdlała postać kobieca. Twarz jej bolesna niezmiernie, jej amarantowy płaszcz królewski rozwiał się i roztoczył dokoła a zewsząd biegnie ku niej tłum postaci mężczyzn, kobiet, dzieci. Wszystko to przerażone, zbolałe, zrozpaczone. Jedni podtrzymują swą panią (niewiadomo, „umarłą czyli omdlałą“ tylko), inni do stóp jej przypadli, inni w bólu skamienieli... Rzecz to porywająca a wykonana niezmiernie dekoratywnie. Jeszcze silniej działa drugi fragment witrażowy: Św. Salomea (nieprzyjęta do kościoła Franciszkanów, *risum teneatis!)*, o której powiedziano, że jest jedynym obrazem religijnym, który wydał w. XIX. Ascetyczna postać świętej, której korona królewska z rąk na ziemię wypada (te ręce, to prawdziwe arcydzieło ekspresji), ma w białej swej twarzy niewysłowioną głębię mistycznej ekstazy... Prócz wymienionych prac pastelowych, (trzeci fragment witrażowy przedstawia Madonnę) dał jeszcze Wyspiański cały szereg również pastelowych studjów dzieci niesłychanie interesujących, odtwarzających poprzez tak ciekawą po malarsku u niego stronę fizyczną całą duszyczkę dziecka w najrozmaitszych jej chwilowych objawach. Studja te zaciekawiają jeszcze przez to, że Wyspiański do tej pory głównie linją działający, obecnie zaczyna w nich przedewszystkiem przemawiać jako malarz.

P a n k i e w i c z, jedyny dziś oryginalny akwaforcista polski (dzieła jego wystawia obecnie p. Jasieński w muzeum narod. wraz z Goyą i akwaforcistami skandynawskimi), ma w „Salonie“ dwa płótna zatytułowane: Bogliasco i Zmierzch, czarujące subtelnością niezmiernie wytwornego kolorytu, której w tej mierze nie posiada żaden chyba ze współczesnych malarzy polskich. Mocą kontrastu (wobec sąsiedztwa Pankiewicza a także Stanisławskiego) zarysowuje się jeszcze wyraźniej silna indywidualność R u s z c z y c a, którego trzy płótna: Obłok, Sad i Wychodźcy uderzają, jak wszystkie zresztą dzieła tego jednego z naszych najwybitniejszym pejzażystów, pewnem, prawie że brutalnem, powiedziałbym epickiem, traktowaniem natury. Wyborny zwłaszcza jest obraz p. t. Wychodźcy: aleja brzozowa, którą w szary dzień jesienny ciągnie szara gromada nędzarzy...

„Skowronek“ M a l c z e w s k i e g o (przedstawiający mężczyznę trzymającego w rękach skrzypce i smyczek i wpatrzonego w skowronka, którego pokazuje mu dziwnie rzewnie uśmiechnięta kobieta), jest jak większość dzieł z ostatniej epoki twórczości tego mistrza, symbolem, który pomimo objaśniającego obraz ten ustępu z „Księdza Marka“, pozostaje prawie rebusem — co nie przeszkadza mu bynajmniej działać silnie na widza i to nie tylko samą fakturą, która jak zawsze u Malczewskiego, jest prawdziwie mistrzowska, zwłaszcza, jako rysunek.

Z innych obrazów, które miały prawo znaleść się w „Salonie“ wymienić należy dzieła: Augustynowicza (znane z wystawy lwowskiej wyborne portrety żony i dwóch córeczek), Boznańskiej, braci Czajkowskich, Gottlieba, Hirszenberga, Janowskiego, Krzyształowicza, Lentza (wyjątkowo dobry portret historyka Jabłonowskiego), Okunia, Procajłowicza, Rychtera, Rychterowej, Trojanowskiego i kilku innych — o reszcie lepiej zamilczeć. Z pośród rzeźbarzy stosunkowo dość licznie reprezentowanych, na plan pierwszy wysuwa się Glicenstein (kilka gipsów i bronzów), talent niezaprzeczony, mało jednak dotąd indywidualny, zalecający się przedewszystkiem poprawnością... Reasumując to, cośmy poprzednio powiedzieli, powtórzyć musimy, że pierwszy „Salon“ polski nie udał się. Należało dać albo samą „śmietankę“ albo wogóle „Salonu“ nie otwierać. „Salon“ polski musi stać na wysokości wymagań europejskich, inaczej traci zupełnie rację istnienia. Wystaw, do których dopuszcza się wszystko, co tylko w Polsce „macha pędzlem“, mamy już chyba aż nadto!...

Sztuka polska we wiedeńskiej Secesji. W tych dniach w „neo-asyryjskiej“ świątyńce “*Ver Sacrum*“ otwartą została XV. wystawa jesienna wedeńskiej Secesji. Złożyły się na nią obok obrazów Kalckreutha i Leibla, rzeźb Bartholomego i St. Marceaux oraz bogatego działu okazów przemysłu artystycznego, reprezentowanego przez kilku Wiedeńczyków, dzieła artystów polskich, głównie członków krakowskiego towarzystwa „Sztuka“. O ile sądzić można z głosów prasy wiedeńskiej, które rozciągły się zaraz po *vernissage'u*, sztuka polska, która nad „modrym Dunajem“ po raz pierwszy *in corpore* wystąpiła, odniosła tam prawdziwy tryumf. Stwierdza to pomiędzy innemi pismami dziennik *Zeit*, zaznaczając przytem, że z pomiędzy wszystkich młodych wystawców na plan pierwszy wysuwa się stary Józef Chełmoński (cztery wspaniałe obrazy rodzajowe, wśród nich słynne „Kuropatwy na śniegu“). Obok Chełmońskiego reprezentowani są: Malczewski (Pieśń wiosenna), Axentowicz, Mehoffer (portrety), Ruszczyc (pejzaże), Wyczółkowski (portrety), Wyspiański (witraże) a w dziale rzeźby Łaszczka (biusty potretowe) i Szymanowski (Improwizacja Mickiewicza). „Ten pokój ma swój własny, osobliwy klimat“ — wyraził się krytyk Hevesi. Wnętrze wystawy polskiej skomponował K. Tichy; przedstawia się ono według słów T. Czaszki „niepretensyonalnie i nastrojone jest tak delikatnie i jednolicie jak sama wystawa“. *A. C.*

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8